

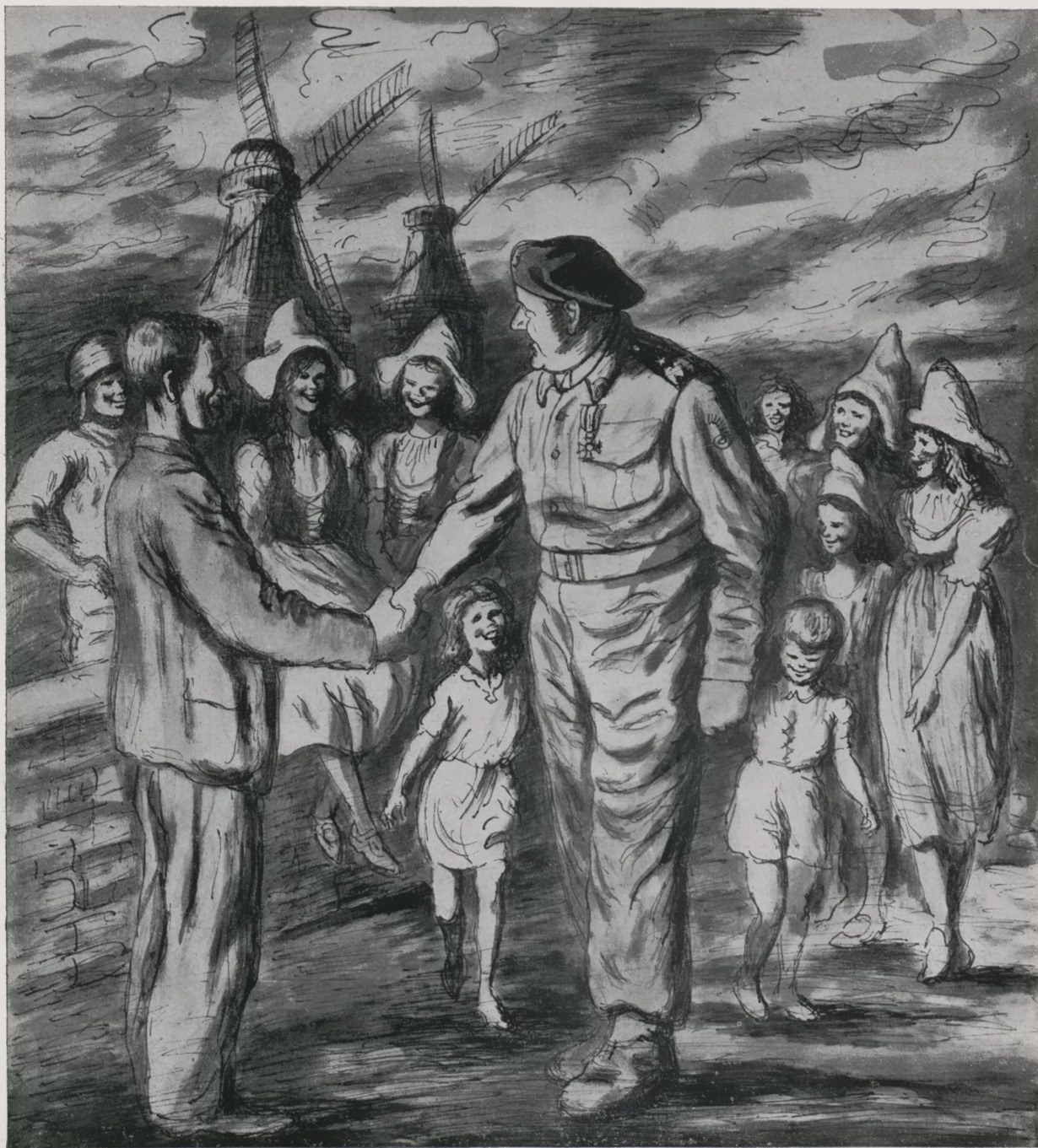
# TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Władysław Gieysztor  
Marjan Hemar  
Aleksander Janta  
Scrutator  
Stanisław Stroński

Vol. 3. Nr. 6. (111) Nowy Jork, 11 lutego — New York, 21. N. Y., February 11th, 1945.

Cena 20 ct.



HOLANDJA WITA GENERAŁA MACZKA

Rys. Z. Czernański



## Widma Teheranu, światła odmiany i mary szlacheckich

Spotkanie przywódców trzech wielkich mocarstw sprzymierzonych ma za jedno z głównych zadań uzgodnienie rozbieżnych ich poglądów na sprawę polską; to nie są domysły ani plotki, to czyta się w pośrodkowych komunikatach i to oczywiście wynika jasno z samej sytuacji. Marsz wojsk sowieckich na Berlin, wyłożona akcja wojskowa brytyjsko-amerykańska na zachodzie, zapowiadając na czas naprawdę najbliższy ostateczny rozgrom Hitlera, sprawiają, że decyzje, powzięte w tajnym do dzisiaj miejscu spotkania Wielkiej Trójki będą miały znaczenie praktyczne o wiele bardziej istotne niż pakt z Teheranu, czy rozmowy z Quebecu; znaczenie dla całego świata, a dla nas przede wszystkim.

Nikt z nas nie łudzi się, niestety, aby ta konferencja wymierzyła nam pełną sprawiedliwość, będącą najmniejszym odszkodowaniem wojennym dla narodu, który pierwszy i cały powstał przeciw Niemcom, ani chwili w tej walce nie ustał i zapłacił za nią jak żaden inny z Narodów Sprzymierzonych.

Zbyt wiele popełniono przez pięć lat niewybaczalnych błędów, zbyt lekkomyślnie i grano z wielkimi hasłami tej wojny, z jedynie realnym i twórczym programem pokojowym, aby można było sobie wyobrazić, że wszystkie popełnione błędy zostaną odrazu naprawione i stanie się nam już teraz sprawiedliwość, będąca obowiązkiem świata nietylgo względem męczenników Polski, ale względem samej idei wolności i demokracji.

Jeżeli mówimy o popełnionych błędach nie mamy na myśli bynajmniej tylko naszych wielkich sprzymierzeńców, myślimy też o niepojętem zaślepieniu z jakim my sami milczeliśmy o naszych krzywdach, o chytrej krótkowzroczności z jaką zdawaliśmy wszystko na łaskę naszych aliantów, o niewybaczalnych błędach naszej polityki, która zamiast walczyć uparcie o bezpieczeństwo Polski, dała się wciągnąć w targi o rzekome bezpieczeństwo Sowietów. Te błędy są historyczne i kto je popełnił nie uniknie sądu historii, choćby go jeszcze nie wiem jakie czekały przejściowe a pyrrhusowe powodzenia.

Zdając sobie sprawę z tragizmu sytuacji wyrażonego w owym nieprawdopodobnym fakcie, że na-

sza catość i niepodległość są dziś niemniej zagrożone jak we wrześniu 1939 roku, nie mamy przecież prawa zamykać oczu na to, że nowa potrojna konferencja odbywa się w atmosferze międzynarodowej bardzo od ostatniego spotkania odmiennej, że wielkie odłamy opinii zarówno brytyjskiej jak i amerykańskiej, że najbardziej uświadomieni politycy demokratyczni Europy, że sfery katolickie i liczni socjaliści pragną tego i pracują nad tem, aby ten tak ważny zjazd nie stał się potwierdzeniem, ale gruntowną rewizją paktów teherańskich, rewizją w sprawie Polski przede wszystkim.

Co najważniejsze zaś sam bieg wypadków, same wydarzenia polityczne zasługują od dnia teherańskiego porozumienia za tą rewizją przemawiają tak wymownie, że wydaje się niemożliwe, aby ludzie, za los wielkich demokracji i za los świata odpowiedzialni, mieli na tę wymowę pozostać głusi i ślepi na obraz szykującej się zagłady Europy przez sowiecki potop.

Rosja, uzyskawszy w Teheranie wszystkie jakich zażądała najniesprawiedliwsze, najniebezpieczniejsze dla pokoju i swych sprzymierzeńców podarunki i koncesje, przekroczyła już dziś wszelkie zdawałoby się najszersze swych zdobyczy granice. Wszędzie, gdzie weszły jej wojska odbywa się sowietyzacja bardzo grubo tylko zamaskowana, albo jak w Polsce całkiem jawna. Co są warte rosyjskie obietnice, tego doświadczył pan Churchill nieomal na własnej skórze, bo ją, używając gwarowego wyrażenia, ledwo uratował z hotelu w Atenach, do którego greccy, jak dowcipnie powiedział "trockiści", przez pomyłkę prawdopodobnie, wstawili maszynę wybuchową.

I wreszcie zanoszą się na to, że w sprawie w której wspólność interesów Sowietów, Anglii i Ameryki była najhałaśliwiej głoszona najbardziej pieczołowicie podtrzymywana, w sprawie przyszłości Niemiec stworzy Rosja fakty dokonane w myśl swoich jedynie planów. Wszystko bowiem w tej chwili wskazuje na to, że pruscy generałowie, potomkowie z krwi lub ducha Bismarcka zostaną ogłoszeni za "dobrych Niemców", z którymi Rosja, niewiele troszcząc się o swoich aliantów, będzie podpisywała pokój.

Zdawałoby się, że wszystkie te zmiany atmo-



sfery i samej sytuacji, przy zwiększonej po wyborach swobodzie decyzji amerykańskiej, przy mniej efektywnych niż rosyjskie ale bardzo istotnych dowodach wzrastającej siły Ameryki spowodują zwrot zasadniczy we wzajemnych sowiecko-anglosaskich stosunkach, który ponieważ wypadki idą tak szybko, już w czasie odbywającego się zjazdu powinien się bardzo mocno wyrazić i między innymi na naszej sprawie zaważyć.

Niestety, na demokracjach anglosaskich mszczą się jak i na naszej małej polityce cztery lata ideowej i taktycznej bezczynności, ciągła defenzywa wobec wzrastającej rosyjskiej agresji, sprawiające że w obawie nowych żądań przystaje się raz po raz na dawne, w rezultacie po kawałku i powoli godząc się na cały plan agresywny rosyjski.

Naszej sprawie grozi na skutek tego i dziś także, że będzie uchodziła za mniej ważną niż sprawa niemiecka, że więc na tym terenie tak dla rosyjskich planów ważnym, a którego ważności anglosasi dotąd nie doceniają, dokonywać się będzie ustawiczny i dotąd z takim powodzeniem uprawiany szantaż rosyjski.

Zdając sobie sprawę ze straszliwego serwitutu przeszłości, z tragizmu położenia naszego kraju ale również z sił i warunków, które coraz wyraźniej grają na naszą korzyść, rząd polski powinien nieustępliwie domagać się pełnej restytucji naszych praw i prawdziwej gwarancji naszego bezpieczeństwa, które są nie tylko nakazem sprawiedliwości, lecz jak świat coraz bardziej przekonuje się, podstawą pokoju w Europie.

Rząd Arciszewskiego wysuwając żądanie swobodnego wypowiedzenia się Polski, to znaczy nie tylko pod kontrolą międzywójkową, ale też przy zupełnej wolności ziemi naszych od wojsk sowieckich, dokonał pierwszego realnego posunięcia w duchu tej nowej polityki polskiej, która odtąd musi być prowadzona bez żadnych wahań. Ta nowa polityka niema na myśli żadnych partii tylko dobro Polski całej i dlatego powinna znaleźć poparcie wszystkich partii, które w tej sprawie muszą wyjść poza swoje drobne nieraz już zupełnie osobiste interesy. Jeżeli myśl o wolnym wypowiedzeniu się znajduje poważne poparcie w Ameryce, jeżeli Stalin udaje że mówi z prawdziwymi polskimi stronnictwami — są to najlepsze dowody, że nasza sytuacja nie jest bynajmniej beznadziejna i że śmiałym ustawicznym stawianiem sprawy polskiej możemy zyskać sobie ważnych sprzymierzeńców w ludziach i wypadkach,

jest to też dowód, chyba jaskrawy, jak katastrofalną omyłką była myśl ugięcia się przed żądaniami rosyjskimi w listopadzie, myśl, której pan Mikołajczyk nie mógł przeprowadzić na skutek czego przyzwolicie i formalnie podał się do dymisji. Gdyby znalazł wtedy dla siebie poparcie w rządzie — na odbywającym się dziś zjeździe nie mówiono by prawdopodobnie wogóle o Polsce, a sam pan Mikołajczyk, gdyby był wtedy wpuszczony do Lublina, miałby napewno już teraz duże kłopoty z przyjęciem go przez Bieruta.

Jest rzeczą gorszą i niebywałą, że w tych warunkach ludowcy tonący, jeżeli już nie mają na tyle klasy politycznej aby poprzeć rząd w tak tragicznej dla całego narodu chwili — zamiast przynajmniej siedzieć cicho — zgłaszają się do obcych z ofertą, że im załatwią sprawy polskie.

Przez jakie szalbierstwa myślowe organ pana Mikołajczyka "Jutro Polski" dochodzi dziś do zarzucania Arciszewskiemu, że jego rząd gubi sprawę polską, podczas, gdy rząd poprzedni ratował niepodległość jest to sekret oweo warcholstwa staroszlacheckiego, którego nieodrodnymi dziedzicami, mającymi pełne usta nienawiści do przeszłości, są, jak się okazuje, niektórzy ludowcy londyńscy.

Pan Mikołajczyk, jak to jasno z niedawnych wypowiedzi jego zdumiewającego pisma wynika, obrał sobie za ideał Stambulińskiego, coby wskazywało, że nie bardzo odróżnia Polskę od Bułgarii. "Jutro Polski" usiłuje nas przekonać, że to szlachta polska i jej rzekomy spadkobierca sanacja lały krew i szerzyły zamęt w Europie, że gdyby chłopi wzięli rządy w swoje ręce nigdyby nie doszło do żadnych wojen; w tłumaczeniu na język obecnych wypadków, oznacza to, że pan Mikołajczyk wierzy w prawdziwą niepodległość "kułackiej Polski" pod opieką Stalina i pana Mikołajczyka przewodem.

Pomimo, że ludowcy londyńscy uważają iż mają monopol na rządy w Polsce, a już napewno na obronę chłopca polskiego pozwalamy sobie twierdzić, że poddanie na które szli, i jak widać uparcie idą, będąc zgubą Polski, jest też oczywistą zgubą polskiego chłopca. I że broniąc prawdziwej niepodległości naszego kraju rząd Arciszewskiego broni też chłopca polskiego znacznie lepiej niż niektórzy przywódcy ludowcy którzy jak się okazuje odrzucili bardzo wiele pięknych cnót dawnej Polski, ale zachowali wiele jej wad najgorszych.



WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

# Niemiecki Katyn

Mieszkańcy przedwojennej Gdyni pamiętają dobrze malownicze ciche jezioro przy szosie, idącej z Wejherowa na północ w kierunku Krokowej. Jezioro leży w samej głębi wielkiego lasu, zdaleka od osiedli ludzkich. Szosa, wytyczona po skrętach białymi niskimi słupkami — wije się wschodnim brzegiem jeziora, a od zachodu nad taflą zawsze spokojnej wody wisi masyw sporego zalesionego wzgórza. Długi wąski półwysep wcina się z boku w jezioro. Piaszczysta droga prowadzi aż na sam koniec półwysepku i tu w cieniu wielkich sosen na brzegu wód jeziornych w upalny dzień letni rozkładali się biwakiem wycieczkowicze z Gdyni. Czasem na brzegu jeziora ktoś i na noc stawiał namiotem, a któregoś lata na miesiąc cały tu w pobliżu zakwaterowali się harcerze z Królewskiej Huty na Śląsku.

Lasy w tem miejscu są wysokopiennie. Buki przeważają, jak wszędzie na Pomorzu. Nad jeziorem jednak zagospodarowała się także czerwonokora sosna, tu i tam rozsiadły się mocne dęby, a niski brzeg jeziora zamknął mur czarnej świerczyny.

Tu właśnie kiedyś durnemu Bolkowi Grubie zaginęła krowa. Niski brzeg jeziora jest bagnisty. Niewiadomo dlaczego! Cała okolica to piachy, wrzosowiska — a tam gdzie zrąb góry urywa się, przy końcu jeziora pod ścianą czarnych świerków

rozpostarła się bogata dziwnie jasnozielona łąka.

Durny Bolek pasał ojcu krowę. Nie miał własnego pastwiska, więc wypasał rowy przydrożne, aż raz kiedyś za grzybami zawędrował nad jezioro i ujrzał tu zieloną łąkę — i wpuścił na nią krowę.

— „Zapadła się w ziemię!” — z piaczem opowiadał potem Ojcu. — „Jak Boga Kocham! Nawet nie zaryzała!”.

Stary Gruba popytał sąsiadów i dowiedział się, że to nie nowa sprawa, łąka nad jeziorem — to zdradliwe trzęsawisko. Jeden opowiedział, jak to za dawnych czasów psy zagnały tu jelenia — i przepadł jeleń, przepadły i psy. Dowiedział się także Gruba o staroświeckiej legendzie: tu podobno w zamierzchłych czasach pogańscy słowianie tracili swoich wrogów — zakutych w stal rycerzy z za morza.

—o—

Gdy po czteremastu dniach bohaterkiej obrony Gdyni miasto poddało się — Niemcy wzięli zakładników. Na punkt koncentracyjny, do kościółka przy ulicy Świętojańskiej, spędzono najlepszych ludzi z miasta i portu. Był tam Dyrektor Urzędu Morskiego Łęgowski, jego pomocnicy Borkowski i Jagodziński, Wicekomisarz Rządu Szaniawski, Prezes Sądu Okręgowego Czarliński, Wiceprezes Mirza-Kryczyński, Prokurator Kozłowski, Proboszcz gdyński Prałat Tużyński, i pięciu jego wikarych, Naczelnik Urzędu celnego Fałatowicz, Naczelnik Urzędu Skarbowego, Naczelnik Poczty, co znamienitsi kupcy gdyńscy z Mikołajczykiem i Ruszkowskim na czele — razem coś trzysta osób. — Ogłoszono, że za każdego zabitego przez ludność żołnierza niemieckiego czy gestapowca zostanie rozstrzelanych pięciu zakładników. Nie zabito w Gdyni ani nie postrzelono żadnego Niemca — ale zakładnicy znikli bez śladu. Krążyły potem różne słuchy o nich, nie jednak nie wiadomo na pewno. Z kościoła gdyńskiego wywieziono ich do więzienia w Wejherowie — i tu ślad ginął.

—o—

Durny Bolek nie pasał już krowy. Odebrano ostatnią krowę staremu Grubie, gdy jesienią 1939 roku na Kaszubach nastąpiły obce rządy. Zato tej jesieni grzyby po lasach obrodziły znakomicie, a i ryb wszelakich było dosyć po jeziorach leśnych.

Bolek spędzał teraz całe dnie w le-

TYGODNIK POLSKI

Is

PUBLISHED WEEKLY

by

TYGODNIK POLSKI

at

806 Lexington Avenue

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription:

Monthly 80 cents

Half yearly \$4.80 Yearly \$9.50

Entered as second-class matter April 24, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879

się: z wędką nad wodą i na grzybach, a jezioro z Krokową było ulubionym miejscem jego wycieczek.

Któregoś dnia pod koniec września wyszedł do lasu jeszcze po ciemku. Przed świtem ryba szła najłatwiej na przynętę. Zasiadł z wędką na znajomym kamieniu na samym końcu półwysepku. Bieliło się już niebo na wschodniej stronie, ale mrok leżał jeszcze po lesie. Poranne mgły począł już odrywać się od wody i gromadziły się w dolnym kącie jeziora. Ciemna ściana świerków odcinała się ostro ponad wałem mgieł. Parę gwiazd nad świerkami świeciło jeszcze na sinem niebie. W głębi lasu zakuczczal pułacz. Przyszedł pierwszy poranny chłodek — i Bolek opiął szczerzej kurtkę na sobie.

Nagle gdzieś z tyłu za chłopcem rosnąc poczał jakiś obcy hałas. Szedł z lasu — od szosy wejherowskiej. Po chwili jasne było, że jadą szosą samochody. Ale skądże o tej wczesnej porze dnia i dlaczego aż tyle?

Bolek obejrzał się. Hałas wzmagał się, aż w dali w ciemni lasu pojawiło się światło. Zbliżyło się szybko, za niem drugie, trzecie... Teraz obok Bolka, pomiędzy białymi słupkami szosy przewijał się długi wąż wielkich samochodów ciężarowych.

Chłopak zapomniał o rybach. Ni stąd ni z owąd naszedł na niego jakiś niewytłomaczony strach. Skoczył w krzaki, zakryty nierównością pagórka przebiegł schylony brzegiem jeziora — i uciekł w las. Zdawało mu się, że jest już bezpieczny — gdy wtem powietrzem wstrząsnął niedaleki huk wystrzałów — jeden, drugi... A potem krzyk — nieludzki, rozdzierający! — „Djabły!” — pomyślał durny Bolek — i pobiął dalej lasem na oślep.

—o—

Mijały lata, a o zakładnikach gdyńskich nie było żadnych pewnych wie-

W POPRZEDNIM 5 (110)

NUMERZE "TYGODNIKA

POLSKIEGO"

Kazimierz Wierzyński: Pomnik;

Jan Lechoń: Minister Neuman; Fe-

licja Lilpop-Krancowa: Jan Karski

o Polsce Podziemnej; Ludwika

Ciechanowiecka: Kraków mego

dzieciństwa; Stanisław Błaszczak:

Przez zieloną granicę na nartach;

Spectator: Sprawy polskie w książ-

kach angielskich; Opinie i zdarze-

nia.



ści. Po Gdyni i po całych Kaszubach krążyły gadki, że wszystkich ich rozstrzelano, ale dokładnie nikt nie wiedział. Jedno wszakże było pewne: od pięciu lat od nikogo z aresztowanych nie przesączyła się najmniejsza wieść. Ludzie uciekają z najbardziej obwarowanych więzień, z cytadeli fortecnych, z najdalszej katorgi — a tu od trzystu zakładników przez pięć lat ani słowa!

Aż dopiero w grudniu 1944 roku zagadka została wyjaśniona.

W jednym z obozów jeńców niemieckich w Stanach Zjednoczonych niejaki Brunon Jagielski z Pomorza

zgłosił się na ochotnika do wojska polskiego. Polski oficer łącznikowy do tych spraw przeprowadził dochozienie. W ogniu krzyżowych pytań okazało się, że Jagielski pomimo polskiego nazwiska i polskiej mowy jest Niemcem z przekonania i z serca. Wzięto ptaszka na spytki, aż zeznał wszystko. Przyznał się też, że od września 1939 roku przez cały rok 1940 służył w wejherowskim plutonie egzekucyjnym Gestapo. Z innymi razem w cichy ranoek wrześniowy r. 1939 wywoził zakładników gdyńskich nad jezioro jeśne przy szosie krokowskiej. Opisał wszystko dokładnie:

jak to jeden z księży bezskutecznie próbował uciec po drodze, jak potem zakładników z zawiązanymi w tył rękoma ustawiano po dwudziestu nad zieloną łąką pod czarnymi świerkami — i jak rzucano trupy w błotnisty grób.

I opowiedział jeszcze, że przez cały następny rok samochody z więzienia wejherowskiego woziły innych skazańców na to samo miejsce: Polaków z Gdyni, z Pucka, z Helu, z Wejherowa, Kartuz, Kościerzyny, Tczewa, Gniewa, Nowego. Dwa tysiące rozstrzelanych nad jeziorkiem leśnym przy szosie Wejherowo-Krakowa.

STANISŁAW STROŃSKI (Specjalnie dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu)

## Jak się robi Rząd... ale w Lublinie

Chcecie wiedzieć jak powstaje w Lublinie w mgnieniu oka rząd Państwa istniejącego tysiąc lat?

Oto jego magna charta wyłącznie i dosłownie według wiadomości w ich własnych nadaniach radiowych w pierwszych dniach tego roku z Moskwy w okowach zimy i z Lublina w okowach Moskwy.

W Lublinie zebrała się 31 grudnia 1944 t. zw. Kr. Rada N i oto:

"Stronnictwo ludowe i związki zawodowe ogłosiły deklarację, zawierającą żądanie przekształcenia P. Kom. Wyz. N. na rząd tymczasowy, wyrażając tem wolę narodu. W dyskusji brały udział PPS, PPR, Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne. Wszystkie partje entuzjastycznie podtrzymały wniosek. Ustawa przeszła jednomyślnie."

Co tem wyrażając? Wolę narodu. Jak wszystkie partje, nieistniejące poza komunistyczną PPR, podtrzymały wniosek? Entuzjastycznie. A uchwała jak przeszła? Jednomyślnie.

I rząd jest gotowy.

Owa t. zw. ustawa głosi poprostu, że Kr. R. N.:

"..powołuje wzamian P. Kom. Wyz. N., ustanowionego dekretem z 22 lipca 1944 r., Tymczasowy Rząd Rzeczpospolitej Polskiej."

Tak oto Rząd powstaje.. wzamian Komitetu, który powstał wzamian niczego i tak zjawia się ciągłość prawna od niczego wraz z tradycją państwową wprawdzie nie tysiącletnią ale za wsze pięćmiesięczną.

A dalej:

"Kr. R. N. uchwaliła jednocześnie ustawę o zastąpieniu tytułu przewodniczącego K. R. N. tytułem prezydenta..."

P. Bierut, długoletni współpracownik poufny władz rosyjskich, potem krótkomiesięczny przewodniczący rady, którą sam sobie doradził, i oto

już, w uproszczonej drodze zastąpienia tytułu, prezydent.

Lecz to zdanie ma ciąg dalszy:

"...oraz ustawę o rozszerzeniu zakresu działania prezydium K. R. N. w okresach pomiędzy sesjami."

Czyli odrazu taka sobie mała dyktaturka dla p. prezydenta.

A radio w Moskwie po rosyjsku w komentarzu p. Hoffmana przypieczętowało:

"Nareszcie znalazł się człowiek, który postanowił stanąć na czele na-

rodu i dopomóc mu do wyzwolenia z ucisku: był nim Bierut."

Gdzie się znalazł?

Lecz idźmy dalej za urzędowym sprawozdaniem radjowem z tego posiedzenia Kr. R. N.:

"Prezydent K. R. N. obywatel Bierut powierzył obywatelowi Osóbce-Morawskiemu misję utworzenia gabinetu, obywatel Osóbka-Morawski misję tę przyjął i na posiedzeniu południowym przedstawiony został K. R. N."

Przyjął? Naprawdę grzeczny człek. I został przedstawiony? Już jako osoba dorosła do władzy rządowej.

A na następnym posiedzeniu Kr. R. N.:

"Na wniosek prof. Wasowskiego, przy ogólnym entuzjazmie K. R. N., uchwalono votum zaufania dla rządu powołanego dnia 31. 12.44."

„Nie profesor, choć też nudziarz pan Wasowski, oczywiście do tego rządu nie ma zaufania, a tylko boi się go bardziej niż dawniejszych, ale to właśnie, jak ulał, doskonałe uosobienie votum lubelskich zaufań narodu polskiego.

A potem już tylko oklaski zewsząd:

"Najpoważniejszy (to wystarczy!) organ demokracji polskiej we Francji wysłał depezę do premiera Osóbki-Morawskiego."

"W Moskwie odbyło się zebranie kolonii polskiej z udziałem Parmasa i innych."

"M. in. nadeszła depeze: Tuwim, Szyk, Brygada Międzynarodowa.."

Jakżeż tu się dziwić, że wobec tego "Prawda" w Moskwie stwierdziła, że powstanie nowego czy owego rządu:

"zostało aprobowane przez cały naród polski a także przez narody wielkich demokracji, jak Ameryka i Anglja..."

A wszystko od początku do końca taka sama... prawda..

KUPUJCIE

KSIĄŻKĘ

ALEKSANDRA

JANTY

"I LIED TO LIVE"

Można dostać

u wydawcy

'ROY' PUBLISHERS

i we wszystkich

księgarniach

Cena \$2.75



ALEKSANDER JANTA

## RODAKÓW NOCNE ROZMOWY

Z dowódcą plutonu Podhalan, podporucznikiem Jerzym K. idziemy zająć m. p. w pierwszym na lewo domku. Porozmieszczał swoich ludzi dokoła, niech się nie wysuwają za daleko ku wsi, a raczej po bokach ubezpieczają te trzy ciemne domy — do rana powinniśmy dosiedzieć. Wziąłem ze sobą z czołga dwa koce, gdyby nie było się czem okryć w nocy. Instalujemy się wewnątrz domu, jak u siebie. Siedliśmy póki co przy stole, krzątają się gościnni Belgowie z przygotowaniem jakiegoś jedzenia.

Zagaduje nas i wypytuje gospodarz o politykę, o wojnę, o nasze losy i nasze nadzieje na przyszłość. Sam się przedstawił: jest ze straży celnej, "brigadier des douanes", prosi panów, Monsieur Beirmaert-Smolters. Wcale rozgarnięty i bardzo życzliwy. Na piętrze są łóżka powiada, jak zechcecie spać to bardzo proszę. Rodzina już odprężona zupełnie po denerwujących przejściach wieczoru, słyszeli strzelanie, mówią, już od wczoraj coraz było bliżej, no i teraz nareszcie oswobodzeni. Jaka ulga.

Niemców nie lubi. Nie żeby życie pod nimi było szczególnie ciężkie, ale było pełne niepewności. Czy jesteście pewni, że nie wrócą? próbują jeszcze dowiedzieć się, co myślimy. Mowy niema, żeby wrócili.

Brigadier rozgadał się. Sama jego obecność wskazuje, że jesteśmy pod granicą. Granica jest belgijsko-holandzka. O trzysta metrów przed nami Zondereigen — objaśnia. Te budynki także się już liczą do Zondereigen. Wejdzicie niebawem do Holandji, mówi. Wszyscy tu na to czekali od tak dawna. Niemcy, owszem było tego, ale bez ciężkiego sprzętu. I tabory mają ciągnione tylko końmi. Wiemy dobrze, bo się konie jednego z ich wozów urwały i teraz chodzą luzem po polach. Tupocą głośno w ciszy naszego oczekiwania, ciągnąc za sobą uprząż, pobrzękują łańcuchami i niejednemu żołnierzowi sen z oczu płoszą, a może nawet straszą nagłym zbliżeniem po nocy i niejednym, ze snu wyrwany, mooniej ścisła karabin w dłoń, badając, czy to nie podstęp? Same też niespokojne, prychają podejrzliwie trafiając na tę zatajoną czyjąś obecność w polu, w kępach krzewów i wzdłuż drogi. Tembardziej, że chmury zastąpiły księżyc i tylko poświata pożarów stanowi oparcie dla oczu, a wszystko inne zlewa się w czerni jeszcze głębszą i bardziej nieprzeniknącą.

Ta izba, o dodatnim wyglądzie mebli, o kuchence sporej, której ogień się pali wesoło, gościnna, bezpieczna

w tej chwili i scena naszego siedzenia przy stole z białym obrusem jest jakby wnętrzem innego świata. Gdyby nie mundury i broń i to podskórne przygotowanie każdego z nas kłoby tu myślał, że wojna. A już zwłaszcza, że to pierwsza linia — o trzysta metrów dalej są przecież Niemcy. Zapomina się o tem prawie i wygodnie jest z tem poczuciem.

Rozsiedliśmy się za stołem, poczęstowaliśmy gospodarza papierosem, sam nalewa kawę, jest i cukier — kawę przynieśliśmy z czołga. Cukru widać im nie brak. Także jaj i okras. Podhalanie mają twarze zmęczone, zasiedli nie rozbierając się wcale, hełm tylko zdjęli obciążony siatką, przygotowani na każdy sygnał z zewnątrz. Na kanapie podporucznik, podchorąży, sanitariusz, dwóch innych, pod drzwiami goniec, młodzieńki chłopiec, z armji niemieckiej niedawno, którego dowódca plutonu nazywa synkiem i posyła coraz to, żeby zobaczył, żeby powiedział, żeby przyniósł. Skoczno — synku i popatrz co słychać. Ale na dworze spokój, będzie można się przespać, daj Boże, i to pod dachem. Gratka nielada, bo od wielu już dni w naturze nocują, a i marszów było podostatkiem. Ale mimo że narzekają, iż bardzo śpiący, rozmowa zaczyna się przeciągać, brigadier z rodziną zbiera się do spania, zostajemy sami Polacy. Próbują ich wyciągnąć na opowiadanie. Jak to było od czasu Normandji?

Ale nacisk ich ciekawości jest silniejszy i wobec tego zamiast pytać, sam muszę odpowiadać na pytania i opowiadać.

Pytania wszędzie te same: co Miłkołajczyk? Co z Warszawą? Jak to wygląda z perspektywy Ameryki i Anglii? Bo my tu wiemy za mało. Radia niebardzo czas słuchać i niebardzo gdzie, gazeta z Londynu dochodzi rozmaicie, albo tak, albo nie, a "Dziennik Żołnierza" to tylko jedna kartka, pięć minut czytania, same wiadomości, żadnych naświetleń. I często człowiek sam nie wie, co o tem myśleć. A przecież każdy myśli o przyszłości. I każdy szuka sensu tego co robi w tej chwili.

Jest czego szukać.

— Bo my tu dajemy wolność wszystkim krajom, Francji, Belgii, Holandji, i kto tylko prosi o pomoc, temu na pomoc idziemy, a sami to zdaje mi się pod kościół będziemy chodzić — oto typowa refleksja polskiego żołnierza Dywizji Pancerniej po dwóch miesiącach walki i tysiącu mil drogi

bojowej na kontynencie Europy. Jesień 1944. W piątym roku wojny!

Warto spamiętać. Napewno ściślej oddaje nastrój niż jakiegokolwiek patriotyczno-egzaltowane słowa o poświęceniu, o wyzwoleniu, o zemście, o misji. Ale gdyby się tak znalazł mechanizm, badający nastroje w różnych armiach i wojskach, bijących się na tym froncie, sądzę, że ze wszystkich porównań Polacy wyszli by jeszcze jako element stosunkowo największej ideału posiadający, jako ludzie wciąż jeszcze zdolni do poświęceń w imię idei — bez materialnych zapewnienia i zadośćuczynienia. Bo przecież tak właśnie walczą, tak wyglądają na tle wojny, która wyzuwa ich, im dłużej trwa, ze wszystkich złudzeń, z wszelkiej nadziei, która przynosiła im cynizmem i ukazuje rolę jaką grają w świetle już tak wyraźnym, że ledwo komu pozwala na pocieszenie się staro-polskim: jakoś to będzie. Wiadomo już, że nie będzie.

Póki co bowiem obiecaną drogą do ojczyzny nie widać. I dlatego maluje się w oczach tych ludzi czułych i pobudliwych, zapalnych i naprawdę gotowych do wielkiego wysiłku i ofiary zupełnej, już nie troska, ale poprostu tragedja. Wyraża się ona w poczuciu schodzenia tej armji z rozbitego ramienia ojczyzny, do poziomu wojska najemnego, którego zawodem jest bić się nie dla swoich wcale, a dla innych. I już gotowi się spytać nie jak dotychczas: po co? Ale dobitniej: za co? Trzyma ich jednak nie żadna z zewnątrz dyscyplina, ale wrodzone poczucie obowiązku, elementarna, ludzka uczciwość dochowania wiary i wierności służbie. I to odczucie być może, że przeżywanie podobnych dzisiejszym czasów z daleka, w oczekiwaniu, w Szkocji, byłoby naprawdę nie do zniesienia. Wojna i udział jaki w niej przyjmują, jest swego rodzaju narkotykiem. Pozwala o wielu rzeczach zapomnieć, o innych nie myśleć wcale. Myśli się mimo to, w oderwaniu jednakże od rzeczywistości tych problemów, gdyż tu są inne i natychmiastowe, gdyż tu także, choć w bardziej ciasnym wymiarze staje człowiek co dnia twarzą w twarz przed problemami życia i śmierci. Życia albo śmierci.

Wyciągam z tych ludzi, przypadkowo tutaj dobranych, całą prawdę ich własnej reakcji na tę rolę, jaką tutaj robią i na rolę, jaką zdaje im się, że mogli by grać.

A chociaż nie przyznają się do tego otwarcie, wiem i muszę to co czuję, wyznać: są zmęczeni. Za dużo tego naraz, za długo. Nie dość wido-



mego pożytku przynosi sprawie ta krew, jaka się leje, nietylko tutaj, bo także i tam. Ze ściśniętym sercem mówią oczywiście nie o tem co tutaj robią, ale o tem co się robi tam. W Warszawie, w Kraju, gdzie każdy ma kogoś bliskiego, gdzie wielu miało dom, i z myślą o nim przyjmowało swój los. Teraz natomiast los zdaje się zgodnie odwrócić się od uznania ich troski i ich tęsknoty, od zrozumienia potrzeby ich serca i jego kruchej nadziei na przyszłość. Odtąd każdy dzień walki, każda chwila niebezpieczeństwa posiada dla nich smak sprawy, jeżeli nie straconej zupełnie, to w każdym razie zagrożonej straszliwie i to ze wszystkich stron.

— Karmili nas nadzieją przez cztery lata razem z porridżem i bekonem. I co nam z tego przychodzi? Nawet nie mówią przez radio o Polakach, którzy się biją. Tylko czasem najwyżej, jak z łaski.

— A może się wstydzą mówić o nas? — próbuje jeden. Bo to, że mówią na polskim programie, nikogo nie zadawała. To jest nawracanie nawróconych. Ale dlaczego Anglicy milczą i Francuzi nie pamiętają?

Zdaje im się, że ich zapomniano. W tych warunkach wojowanie nie jest łatwe. Tyle to kosztuje ludzi, że niewiadomo naprawdę czy się opłaca — mówi któryś, jakby kalkulował proporcję strat i zysków.

Zatroskane są oblicza tych młodych chłopców, jak gdyby na nich w tej chwili ciążyła odpowiedzialność za całe losy ojczyzny.

— Niech pan weźmie naprzykład tę jedną naszą kompanję — ma już szóstego dowódcę od czasów Normandii. Reszta ranni albo zabici. Mój pluton zmienił trzeci raz dowódcę. Wykruszają się ludzie. Jest wogóle dwóch tylko jeszcze, którzy od Szkocji dotrzymani, reszta odpadła po drodze.

Bo też droga jaką tu dotarli znaczona jest często grobami, podpisana obficie krwią, przetarta cierpieniem ofiary i poświęcenia. Droga przez kraje nie nasze, chociaż ich wyzwolenie jest dziś wymikiem także polskich poświęceń, woli i wytrzymałości. Polskiej siły i polskiej przyjaźni, Polskiego posłuszeństwa i wierności przysięgom. Jak przykład, świecący w oczy światu. Ale świat oczy zamyka na te przykłady.

Podporucznik wyciągnął notesik, żeby mi z jego pomocą opowiedzieć swoją drogę. Był najpierw w plutonie broni specjalnej, przy moździerzach rozpoczął tę drogę. Notatki są pośpieszne, wrażeń tyle, jedno drugie goni i zaciera, ledwo dwa miesiące minęły, a to już jakby epoka. Wyjazd ze Szkocji zdaje się przypomniem tak przeraźliwie odległym, że niemal niereczywistym.

— To się zaczęło pod Caen 8go

sierpnia rano — opowiada podporucznik, czytając te daty z notatnika. Zaraz tam było nieprzyjemnie, ale nie dla nas. Póki sąsiada rębnią (wszyscy tu mówią nie rąbią ale "rębnią") a rębali zdrowo, to się człowiek jakoś nie przejmując. Milsza mu własna skóra od sąsiedzkiej...

9go natarcie na St. Sylvain... — odpowiadanie jest suche, kronikarskie, tak jak zapis, złożony tylko z miejscowości i daty, a przeżycia z nimi związane to jakby prywatna własność tego żołnierza, z której, gdy kto tam nie był i nie widział i tak nie wiele zrozumie.

Z dwumastego na trzynasty odpoczynek pod artylerją. Czternastego w akcji bardzo wrednej. Po wsparciu własnego lotnictwa mało nam ludzi zostało. Zajęliśmy stanowiska Kama-dyjęczyków, a jak raz własne lotnictwo zaczęło napażać, to lepiej było zrobić natarcie niż uciekać do tyłu i pehać się pod te ich bomby. Zamiast żeby do czołgów, pepance Niemców nasze karjersy pruły, ile się zmieści.

Jest chwila ciszy, jakby szukania w pamięci co się to działo następnego dnia po czternastym. — Bo dopiero siedemnasty zanotowany. Natarcie na Jort. 16go na Trun po drodze na wzgórze 262. Od 19go do 22go z całym batalionem na Maczudze.

Samo to już takie wymowne, że ani słowa więcej nie dodał. Wiadomo przecież, co to znaczyło. A kto nie wie, temu i tak nie wytłumaczy nikt.

"Maczuga krwią obłana" powie mi potem w tonie sarkastycznym jeden z młodziaków, który na niej był i za to, że był, dziś nosi Krzyż Walecznych. Ale mówi o tem z przekąsem, jakby się bał, że wpadnie inaczej w patos. Doda tylko, że bywało nie do zniesienia. A jednak zniósł.

Są nad miarę wstrzemięźliwi, skąpi w słowach, zapominający. Czyżby nie mieli daru batalistycznych opisów? Trzeba z nich mozolnie wyciągać szczegół za szczegółem i sztukować ten obraz, jeśli się nie ma go samemu w oczach i czuciu.

O odpoczynku, jaki nastąpił po bitwie normandzkiej nie wszyscy mówią z jednakiem uznaniem. Odprawy, uzupełnienia, lizanie się ze szkód w sprzęcie i ekwipunku zajmowały wiele czasu, były uciążliwe i męczące. Opowiadają o tem, każdy ze swego punktu widzenia, na swoim szczeblu. Ze człowiek miał akurat tyle czasu, aby gacie umyć w ruczaju, i przespać się między zbiórkami i być na przedstawieniu, na którym siedząc na własnych piętach, z tej przymusowej pozycji oglądał dwie tancerki, nadające się do opery i słuchał dwóch śpiewaczek, lepszych z pewnością, gdyby wzamian tańczyły... Mowa była także o łaźniach ale skończyło się na mydleniu w rzece... To oczywiście brzmi jak silenie się na dowcip i nie ma nic wspólnego z powagą innych opowiadań.

Bo dalszy ciąg kampanji zanotowany jest w notatniku podporucznika. 1go września jest znów na pozycji. Dobra była pozycja, pamięta, Niemców żadnych, dużo koniaku i jedzenie we wsi, jak się patrzy. I dobre kwatery. Drugiego na Abbeville. Łzy w oczach poraz pierwszy. Na katedrze flagi, polska i francuska. I poraz pierwszy entuzjazm ludności. O tak, to było bardzo wzruszające. Bo ukazało — po raz pierwszy podkreśla — sens tego naszego pochodu i boju. I przyniosło jakby zadośćuczynienie. Ze jednak ceni sobie ludność tem ich wysiłek, tę walkę i te ofiary. Ze ich przyjmuje jako wybawicieli, w otwarte biorąc ramiona. Procesją szli

## NAJLEPSZYM PODARKIEM DLA KAŻDEGO

a zwłaszcza Duchowieństwa, Żołnierzy, Weteranów  
i Działaczy będzie

NAJNOWSZA KSIĄŻKA

PŁONĄCE SKRZYDŁA

JADWIGI KARŁOWICZOWEJ

CENA \$ 1.50

Do nabycia u

M. Karłowicz, 2653 N. New England Ave., Chicago 35, Ill.



francuscy mieszkańcy do grobu jednego z naszych. Plutonowy Dziki tam zaginął. I wogóle było na co patrzeć. Ta defilada z dziewczynami, którym ogolono głowy, i które miały flagę ze swastyką — kolaboracjonistki. Dobrze, że im byłoby goła, mówił jeden Francuz. Nauczy to wszystkie inne, żeby się z kolei nie puszczoły teraz z Anglikami. Miało potem miejsce uroczyste spalenie nieprzyjacielskich chorągwi. Ceremonja trochę średnio-wieczna. Ale pozatem karnawał. Tańce na ulicach. Wino, radość. Przyjaźnie szybkie i żywiołowe, według recepty: "Wyszedłem na miasto i zapoznałem narzeczoną." Wmawiają mi prawie, że się rodzice patrzyli okiem łaskawym na to, jak tam żołnierze korzystali z wdzięków ich córek. Że to niby niezłego odmówić nie było można oswobodzicielom — tłumaczą zatem. Przyjęcie doprawdy niezwykle.

— Nie byliśmy dotąd popsuci nadmiernym entuzjazmem ludności i dlatego może wrażliwsi na te objawy — brzmi wyjaśnienie.

I znowu z kalendarzika. 4go pod granicą belgijską, z 5go na 6ty walka o Ypres; tu jedna tylko migawka uliczna po wejściu do miasta: stara kobiecina, która bez apelacji każdego z naszych żołnierzy brała w ramiona i całowała z oddaniem, aż wzruszającym: A dalej...

Nie zdążyłem usłyszeć dalszego ciągu. Siedzieliśmy senni, już się nie-raz zarzekając, że najwyższy czas pójść spać, choć potem, za każdym razem jeszcze się przeciągała rozmowa i na różne schodziła tematy, snute wokół motywu tego opowiadania o dziejach jednego oddziału i wspomnień jednego człowieka — aż tu jak nagle nie gruchnie, koło domu, raz z lewej, raz z prawej.

— Macają cholery mózdzierzami. Zaczyna się.

Hełmy na głowę i do drzwi. Światło gasić, bo nuż gdzieś preziera. Już tylko latarki. Rodzina gospodarza, wydając zastraszone głosy, sprowadza się znów gwałtem do piwnicy. Podporucznik wybiega na dwór. Wałą po nas, każdy kureczy głowę, próbuje ścieśnić do minimum zajmowane przez siebie miejsce w przestrzeni. Przenika to aż do wnętrza, od brzucha aż do pleców. Trzęsie człowiekiem dreszcz. Umawia się wobec tego z samym sobą, że zmarł widocznie. Ogień w kuchence dawno przecież wygasł — przez niedomknięte drzwi przeciąg ze dworu wieje.

Postrzelali trochę z tamtej stony, my nic, siedzimy jak trusie, żeby nie zdradzać zajętą miejsca. Ale spokój prysnął na dobre. I już tylko siłą przyzwyczajenia i rozsądku trzeba próbować spania, kiedy tylko ucichły wybuchy. Rozkładam swoje koce pod oknem na ziemi. Podporucznik wy-

ciąga się na kanapkę w pokoju. Obok pokotem jego towarzysze. Z łózek na górnym piętrze, nie umawiając się wcale, nikt nie skorzysta. Jakby w przeczuciu, że to jeszcze nie koniec wypadków dzisiejszej nocy.

Sen jest krótki, rwany i nerwowy. Nie daje wypoczynku, nie pozwala zapaść się w niepamięć, pod którą czatuje świadomość żywa, przytomna i czekająca znaku zagrożenia.

Przykazałoby cywilom siedzieć w piwnicy i nie ruszać się stamtąd. Jest w domu napięta cisza i ta sama napięta cisza, wyczekująca ostremi zmysłami już nie obecności nawet czyjejkolwiek, ale nawet jej zamiaru w przestrzeni, rozszerza się dokoła domu, w krajobrazie zupełnej ciemności.

Toteż kiedy się przez nią nagle przeciął świst i trzaskanie strzałów — nie było to zaskoczenie. Ten efekt słuchowy istniał już w uszach spodziewaniem przez całą noc. I całą noc, przez sen nawet, nastawiał się w człowieku aparat czucia na przyjęcie tego sygnału.

Zaczęło się więc od ostrych, pojedynczych wystrzałów. Potem zagrał karabin maszynowy, potem odzywało się to strzelanie naprzemian, raz pojedynczo, raz serją po lewej, po prawej stronie domu, na drodze, w sadach, z pod węgla, tuż za oknem.

Uzucie czarnej pustki na dworze pogłębia siąpiący deszcz. Jest człowiekowi tak obco, tak nieprzyjemnie. — Dowódca plutonu wyskoczył pierwszy — nie ma zresztą żadnej wątpliwości: Niemcy próbują się podkraść. Odgryzamy się strzelaniem tej próbie nono-nego natarcia. Nikt nie widzi, strzela się więc na czucie oraz na błyski ognia w gęstym mroku, na te źródła świetlnych peków, jakie biczami wznoszących się torów krzyżują się i mijają, wybiegając naprzeciw sobie. Ładne fajerwerki można tutaj zobaczyć — mówi któryś w ciemnościach, ale ledwo powiedział urwały się fajerwerki. Złośliwym świśnięciem trzepnie za to przypadkowy pocisk. Potem znowu cisza przez czas jakiś, nasłuchiwanie pilne i jeszcze jeden zryw strzelaniny. Jestem z powrotem w domu, słyszę w dali zgrzyty metalowe: to jeden z naszych czołgów, wienny umowie, że wesprze, jeżeli byłoby ciężko, właśnie się wdać zbudził i poskrzypując ciągnie nam na pomoc. Bo Niemcy jakby wciąż bliżej. Od sadu znowu mocna strzelanina. Schodzę do piwnicy zobaczyć co tam cywile robią i pokrzepić ich na duchu, że to nic złego. Siedzą w kącie bardzo zastraszeni, młoda kobieta z dzieckiem na kolanach ma twarz bladą i zmienioną od niepokoju, stara modli się, mężczyźni siedzą z wejrzeniem poważnym i pytającym przy świetle świeczki. Nie ma się co obawiać, mówię sam w to nie wierząc, skoro wybuchy mózdzierzy

wstrząsają domem i powtarzają te gwałtowne gruchnięcia to tu, to tam, dookoła. Mówię: byle do rana wytrzymać. Rano wojna będzie już daleko. Najgorsze jest już za wami. Dziękują trochę niezgrabnie i niezbyt uspokojeni. Wracam na górę. I mijam właśnie w ciemności pokój, w którym przed chwilą spałem, kiedy nagle wali mnie po głowie i plecach błysk i grzmotnienie, wstrząs jakiś piekielny, ścisk w skroniach, w uszach i w pierśsi — niesamowita jasność i pchnięcie, potem już tylko walenie się szyb, trzask spadających dachówek, może sufitu? Co to było? Wyrznięli w dom napewno. Towarzysze wybiegają na dwór, w ciemności — ktoś woła "są ranni", zamieszanie ogromne, co się stało? A to poprostu własny nasz czołg podjechał i "wsparł". Z siedemnasto-funtówki, której lufę podetknął pod okno naszego domu. Potworna jest detonacja tego odpalenia. A w dodatku granat poszedł w drzewo o dwadzieścia metrów przed czołgiem. Więc na dobrą sprawę dwa wybuchy sprężono brzmieniem w jeden i ten sam.

No, no, mało nie było katastrofy. Są ranni. Przyprawdzają jednego z nich na dół do piwnicy — syczy mu się krew z pleców, koszuła cała zapaskudzona, sanitariusz nakłada opatrunki. Rannemu teraz dopiero z emocji i wstrząsu uginają się nogi, osłabł. A potem trzęsie się, jak w gorączce. Cywil mówi, że u niego w komodzie jest czysta koszuła, ale sam nie pójdzie teraz tam na górę, teściowa i żona nie pozwalają aby się narażał. Przynoszę tę koszulę, uspokoił się biedak, otulamy go w koce, niech poczeka.

Na dworze zaczyna się teraz syczyć zadeszczona jasność świtania, a razem z nią, mimo zimna, przenika człowieka uczucie ulgi, że się koszmar tej nocy rozwiewa. Dom, w którym doświadczyliśmy go, widziany z zewnątrz, przedstawia obraz niespodzianego zniszczenia — chuchnięcie naszej armaty, wybuch granatu i mózdzierzowych pocisków swoje zrobił. Od środka wygląda nielepiej. Ale cywilów pocieszamy, że dla nich koniec przykrości. Mimo to nie ruszają się z piwnicy. Dla żołnierzy naszych natomiast zaczyna się po wielu podobnych nocach jeden z wielu podobnych dni. Dni pod obstrzałem, dni boju i spotkania swojego losu i szukania szczęścia w obszarach niebezpieczeństw i przygód i pustki. Jeden z wielu dni posuwających go naprzód w nieznanym krajobrazie obcej ojczyzny, wśród której napróde szuka podobieństwa do własnej ziemi. I bije się z świadomością, że droga do niej, mimo że idzie naprzód, jeszcze straszliwie długa i daleka. I że nikt mu już dziś nie powie, co jest u kresu tej drogi.



WILNO MICKIEWICZA



OSTRA BRAMA

(według sztychu z pierwszej połowy XIX w.)



MARJAN HEMAR

## KARTKI Z PAMIĘTNIKA

## PROJEKT KARYKATURY

“Uznajemy siebie za optymistów, realistów i —romantyków zarazem...” (Jutro Polski)

*Jakby machnął Topolski, albo Him i Lewitt:  
Widzę półko, na półku nasz bożek — Swantewid.*

*Dwoje lic ma, dwie twarze — od tyłu i z przodu.  
Jedną na wschód zwrócony, drugą do zachodu.*

*I chociaż ten sam bożek i ta sama glina,  
Ale na jednym licu romantyczna mina,*

*A na drugim realizm, tak pokornie gorzki,  
Jakby to nie dwie twarze, lecz dwa różne bożki.*

\* \* \*

*Na zachód patrzą oczy, romantycznie modre,  
Poza Wrocław i Szczecin, za Niszę i Odrę.*

*Ale twarz, z realizmem na wschód obrócona,  
Nie śmie sięgnąć spojrzeniem za linję Curzona.*

*Na zachód — twarz Chrobrego, moc samopoczucia,  
Na wschód — oblicze raczej Stanisława Gucia.*

\* \* \*

*Romantyzm i realizm — dobrze, gdy potroszku  
W jeden aljaż się stopią w politycznym bożku.*

*To mądre. Taką mądrość pochwalam istotnie,  
Tylko bym tego bożka przestawił — odwrotnie.*

*Realizmem — do pokus, utopji, owacji,  
Obiecanek, cacanek pochwał, deklamacji.*

*Romantyzmem — ku stronie grozy i cierpienia,  
Gdzie nic, prócz romantyzmu, niema do stracenia,*

*Ku gwałtowi i hańbie, ku “linji Curzona,”  
Demonstracją, chociażby — reduty Orzona.*

\* \* \*

*A świętoszek się pieni. “Zdrada!” — krzyczy — “Strata!”  
“Jeśli co zmieniać” — krzyczy — “zmiehmmy strony świata!”*

*Można. Ale n a r a z i e — (przepraszam świętoszka) —  
Troszkę prościej, i pewniej, było zmienić bożka.*



## JAK POLSKA PODZIEMNA WE FRANCJI MYLIŁA NIEMCÓW

Do najbardziej bohaterskich kart polskiej walki podziemnej w tej wojnie należy epopeja polskich sił powstań-  
czych we Francji, dowodzonych przez Aleksandra Kawałkowskiego (Justyna) i płk. Zdrojewskiego (Daniel). Przez  
trzy lata dowódcy i żołnierze tej organizacji, tropieni ze szczególną zjadłością przez Niemców prowadzili walkę  
podziemną, wzorowaną na najświetniejszych tradycjach polskich tajnych ruchów i będącą prawdziwą nauką dla nie-  
wprawnych w takich działaniach Francuzów.

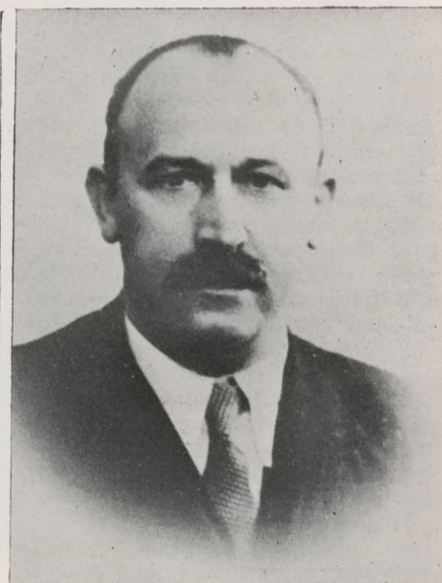
Ciągła zmiana nazwisk i miejsc pobytu była oczywiście powszedniością tego życia. Niezwykle ciekawe fotoga-  
fje doszły nas z Francji, są wymowną ilustracją warunków w jakich nasi żołnierze podziemni walczyli we Francji i do-  
kumentem ich przemyślności w myleniu Niemców.



Płk. Zdrojewski (Daniel) dowódca  
Polskiej Armji Podziemnej we Francji



Jako Antoni Zdrojewski  
ur. 26. III.1899



Płk. Zdrojewski jako Karol Axel  
Sodermark (Szwed) ur. 6. II.1891



Płk. Zdrojewski jako Dr. Charles  
Pottier (ur. w r. 1912)



X. Dziekan Makulec



X. Dziekan Makulec  
jako Andre Robineau



## SCRUTATOR

# Sprawy polskie w książkach angielskich

## O "KRZYWDZIE" NIEMIEC W WERSALU

Sir Victor Wellesley, zastępca brytyjskiego podsekretarza stanu do spraw zagranicznych w latach 1925-1936, ogłosił książkę "Dyplomacja w okowach"\*, która wymownie świadczy, że mit o "dobrych Niemcach" dziś — w szóstym roku najpotworniejszej z wojen, przez Niemcy wywołanych — nie wygasł jeszcze w wyobraźni pewnych Anglików. Ten nieuleczalny germanofilizm autora, ujawnia się zarówno w kategoriach duchowych, gdy mówi on o pięknie muzyki Bacha i Beethovena, o poezji Goethego i Schillera, o sztuce Holbeina i Durera, jak w kategoriach politycznych, gdy rozważa postanowienia traktatu wersalskiego.

Wellesley podnosi, że wprawdzie powrót Alzacji i Lotaryngji do Francji był nieunikniony ("foregone conclusion"), ale nie omieszka zaraz dodać, że oznaczało to poprowadzenie granicy przez terytorium, które od r. 1871 stało się "największym okręgiem przemysłowym Niemiec". — "Skrupuły (misgivings)" Wellesleya występują w całej pełni kiedy zaczyna roztrząsać powersalskie wschodnie granice Rzeszy.

Jeśli idzie o korytarz, trudno powiedzieć, czyje roszczenia ("claims") są słuszniejsze. Od setek lat był on kością niezgody pomiędzy Słowianami a Teutonami. Chłopi są Słowianami, właściciele ziemscy — Teutonami. Polacy posiadali tę dzielnicę przez lat trzysta, Niemcy — przez ostatnich lat sto pięćdziesiąt. Z punktu widzenia historycznego roszczenia polskie były oparte na mocniejszym fundamencie, ale argumenty historyczne — dodaje zaraz Wellesley — często są zawodne. Na podstawie argumentów historycznych Anglicy mogliby np. zażądać Calais. W tego rodzaju wypadkach, kryterium rozstrzygające stanowić powinna nie historia, ale współczesne warunki polityczne i gospodarcze. Otóż należy stwierdzić, że wprawdzie korytarz był w sumie bardziej polski niż niemiecki, gospodarczo stanowił integralną część systemu niemieckiego i prócz tego wiązał Prusy Zachodnie ze Wschodnimi. Ale — dodaje z przekąsem Wellesley — twórcy pokoju ("peacemakers") musieli dotrzymać przyrzeczeń Polsce, bez względu na to czy

przyczyniały się do utrwalenia pokoju ("whether these — the promises — were conducive to peace or not").

Choć Prusy Wschodnie oddzielone były od Niemiec także w XVIII w., ale w w. XX "stworzyło to sytuację geograficzną, która napawała goryczą i była nie do zniesienia dla każdego patriotycznego Niemca, podobnie jak obcy korytarz poprzez Anglię od Liverpoolu do Hull musiały wywołać oburzenie każdego Brytyjczyka". W interesie pokoju należało znaleźć inne wyjście i zapewnić Polsce dostęp do morza drogą tranzytową, pod gwarancją Ligi Naodów.

Nieoceniony Wellesley podnosi dalej, że podział Śląska, uznali Niemcy za jedną z najcięższych z wyrządzonej im krzywd, i pisze: "terytoria te nigdy nie należały do Polski. Od niepamiętnych czasów były zamieszkiwane przez Niemców a przedwojenne granice sięgały r. 1136. Z wyjątkiem granicy francusko-hiszpańskiej były to najstarsze granice w Europie". "Przedsiębiorczość, kapitał i umiejętność niemiecka" uczyniły ze Śląska drugi najważniejszy okręg przemysłowy Rzeszy. Tu Wellesley niemal rozdziera szaty, cytując odpowiedź sprzymierzonych udzieloną Niemcom, że oddanie Śląska Polsce znajduje się w całkowitej zgodzie z punktami Wilsona, ponieważ ludność tamtejsza jest w przeważnej części polska. Interwencja Lloyd George'a spowodowała plebiscyt. Wellesley uważa, że przeprowadzono go nieuczciwie (używa wyrażenia "gerrymander" od nazwiska słynnego gubernatora stanu Massachusetts, Gerry Elbridge'a, który w r. 1812, przez umiejętny podział stanu na okręgi wybocze, zapewnił zwycięstwo swojej partji), mimo to Niemcy zdobyli 60 procent głosów, "fakt, który trudno pogodzić

z twierdzeniem sprzymierzonych". Nowe granice — boleje Wellesley — zniszczyły jedność gospodarczą Śląska i wprowadziły zamieszanie do życia jego mieszkańców.

W sprawie Poznańskiego Wellesley łaskawie nie zgłasza sprzeciwu, ponieważ same Niemcy gotowe były zrzec się tej dzielnicy, o ludności bezspornie polskiej.

## "OBROTOWA" KARTA ATLANTYCKA

Autor książki p. t. "Karty pokoju"\* W. Arnold-Forster, podejmuje beznadziejne zadanie pogodzenia pięknego manifestu ideowego, jakim była Karta Atlantycka, z brutalną polityką przemocy, jaką uprawiają wielkie mocarstwa. Mamy tu — gdy mowa o Rosji — ciągłe powoływanie się na ten czy inny artykuł Karty a jednocześnie usprawiedliwiania względami praktycznymi tego czy innego zabioru. Tak np. p. Arnold-Forster z naciskiem podnosi, że Wielka Brytania ma obowiązki wobec państw bałtyckich, że kilkakrotnie stwierdziła, iż nie uznaje żadnych zmian granicznych, dokonanych o r. 1939, że zarówno Karta Atlantycka jak sojusz brytyjsko-sowiecki zastrzegają się przeciwko nabytkom terytorialnym, itd., ale zaraz dodaje, że względy strategiczne nakazują Stalinowi zabezpieczenie tego tak żywotnego dla Rosji szlaku, że poblizko Leningradu musi znajdować się w pewnych reżach, że włączenie do Związku sowieckiego przyczyni się do postępu w państwach bałtyckich itd. Mówiąc o

\*Charters of the Peace. A Commentary on the Atlantic Charter and the Declaration of Moscow, Cairo and Teheran by W. Arnold-Forster. Londyn; Victor Gollancz 1944; str. 138.

ZNAKOMITY PISARZ AMERYKAŃSKI  
LOUIS BROMFIELD  
TAK MÓWI O NOWEJ KSIĄŻCE  
KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

"I have read "The Forgotten Battlefield" and was deeply moved by it. I think it is an excellent picture of Polish bravery and spirit which every American should read in order to understand the great tradition of Poland."

Żądajcie we wszystkich księgarniach i u wydawcy  
"Roy Publishers" (25 West 45 St.)

NOWY TOM  
KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

**"THE FORGOTTEN BATTLEFIELD"**  
z ilustracjami Zdzisława Czermańskiego

\*Diplomacy in Fetters by Sir Victor Wellesley, K. C. M. G., C. B., Late Deputy UnderSecretary of State for Foreign Affairs. Londyn, Tutchinson, (1944); str. 224.



roszczeniach rosyjskich do wschodniej Polski, p. Arnold Forster całkowicie zapomina o Karcie Atlantyckiej, godząc się na fakty dokonane, natomiast gdy chodzi o możliwość kompensat dla Polski na zachodzie, Karta Atlantycka znowu występuje w całej okazałości. Książka wyszła jeszcze przed oświadczeniem Churchilla z dn. 15 grudnia 1944 r. w sprawie Prus Wschodnich, ale już ogólnikowe oświadczenie premiera brytyjskiego z dn. 22 lutego t. r. spowodowało niepokój autora. Podkreśla on, że z tekstu Karty Atlantyckiej wynika iż nie stosuje się ona do narodów nieprzyjacielskich. Jeśli tak, także w stosunku do Niemiec obowiązuje artykuł o "swobodnie wypowiedzianej woli ludności". A przecież terytoria, które ma otrzymać Polska w drodze kompensaty, są — poza wszelką dyskusją — niemieckie. Odłączenie ich od Rzeszy byłoby nie tylko sprzeczne z Kartą Atlantycką, ale również niebezpieczne dla samej Polski, nadto stanowiłoby zarzewie nowej wojny. Wprawdzie krzywdy, doznane przez Polaków od Niemców, są bezmierne, ale nie uczyni to ich sprawniejszymi w rządzeniu ludnością niemiecką. Wprawdzie Polacy zostali bezlitośnie wysiedleni przez Niemców z Polski zachodniej przyczym miliony skazano na zagładę, wprawdzie znaczna ilość Polaków została wysiedlona przez Rosjan z Polski wschodniej, ale nie usprawiedliwia to wyrzucania Niemców z Prus Wschodnich. Słowem, za linią Curzona nie wolno gwałcić prawa narodów.

W świetnej komedji Antoniego Słonimskiego "Rodzina" była mowa o Polsce jako o przedmurzu "obrotowym": raz od wschodu, drugi raz od zachodu. Zdaje się, że Karta Atlantycka ma odgrywać podobną rolę.

#### O POLAKACH NA FRONCIE I W ESKORCIE

Znakomity korespondent wojenny "Daily Express'u, Alan Moorehead, opowiada w swojej "Trylogji afrykańskiej"\*, obejmującej trzy poprzednio wydane tomy wrażeń z Bliskiego Wschodu i z Afryki Północnej, o dwóch spotkaniach z Polakami.

Moorehead widział Polaków na linii Gazali w grudniu 1941 r. Szczęśliwi z wydostania się z Tobruku, atakowali z rozmachem czerwonoskórych, a ich szef sztabu, w chwili roz-

wijania się tyraljery pod ogniem nieprzyjacielskim, powiedział całkiem serio: "Jest to fajna odmiana (nice change) dla chłopców. Naprawdę fajna odmiana". "Szli do bitwy jakby byli korsarzami na pokładzie piętnastowiecznego galionu". Autor obserwował przez lornetę pewien odcinek, który gęsto obstrzeliwała artyleria nieprzyjacielska. Przez pewen czas był on spowity w tak gęsty dym, że wydawało się iż przestał po prostu istnieć. Ale kiedy dym się rozszedł, można było zobaczyć, że Polacy idą naprzód. Ostatnie kilkanaście jardów, dzielących ich od pozycyji niemieckowłoskich, pokryli z bagnietem w rękę.

Potem na jesieni 1942 r., Moorehead obserwował żołnierzy polskich w Rosji, którzy eskortowali jeńców niemieckich na statku "Zola" z Durbanu do Kanady. "Co noc Polacy ustawiali się rzędem na pokładzie (port deck) i odwróceniu twarzami ku zachodowi śpiewali swój stary hymn narodowy. Był w tym lament, który mógł wzruszyć każde serce gdziekolwiek na ziemi. Ale tutaj, na bezbrzeżach oceanu (wilderness), hymn ten, śpiewany jedynie pod akompaniament fal, rozbijających się o okręt, przez tych bezdomnych ludzi, — niektórzy byli chłopcami zaledwie, — miał w sobie nostalgię i patos, który wywoływał zakłopotanie i przerażenie, każdy z tych ludzi stracił przed laty rodzinę w Polsce, teraz, ubrani w obce mundury, znaleźli się na obcym okręcie, od domów rodzinnych dzieliły ich nie tylko Niemcy, dzieliły nadto tysiące mil mórz i lądów, a sprawa polska wyglądała beznadziejniej niż kiedykolwiek."

Polacy tworzyli na pokładzie oddzielną grupę; nie mówili po angielsku, więc kontakt z nimi był trudny. Kiedy autor po raz pierwszy usłyszał hymn polski, zrozumiał, jaka niezłomność łączyła tych ludzi. Łączyła ich poza tym "religijna chęć zabijania Niemców. Widziałem Polaków zabijających Niemców; robią to z tym

samym pozbawionym namietności spokojem, z jakim chirurg wycina wrzód. Działa tu coś co jest poza obrębem nienawiści czy zemsty. Jest to bezpośrednia reakcja fizyczna, coś co sprawia, że Niemcy w Polsce zachowują się brutalniej niż gdzieinziej. W końcu jest to, być może, prymitywny instynkt samozachowawczy."

Polacy wzorowo pełnili swoje obowiązki. Kiedy byli na służbie, nie falgowali sobie ani na chwilę. Stosunek ich do jeńców niemieckich był poprawny ale twardy: wszelkie próby rozluźnienia dyscypliny likwidowano z całą energią.

Kiedy "Zola" przybył do Halifaxu, zaszedł mały incydent. Na podstawie konwencji haskiej, oficer będący w niewoli nie musi sam nosić swego bagażu, a tak się złożyło, że szeregowcy niemieccy opuścili okręt przed oficerami niemieckimi. "Z brakiem taktu, przechodzącym wszelkie wyobrażenie, — pisze Moorehead — powien oficer brytyjski kazać Polakom przenieść bagaż. Równie dobrze mógł się zwrócić do rozbitków z konwoju. Polacy wręcz odmówili".

Incydent szybko zażegnano, bagaż oficerów niemieckich przenieśli żołnierze brytyjscy.

**KTO CHCE  
NAJSZYBSZEGO  
ZWYCIĘSTWA  
i  
POKOJU  
TEN KUPUJE  
BONDY  
WOJENNE**

#### WSPANIAŁA ILUSTROWANA MONOGRAFJA WARSZAWY, PO ANGIELSKU

zawierająca artykuły i wypowiedzi o Warszawie najświetniejszych pisarzy polskich i najznakomitszych działaczy amerykańskich ze speakerem Rayburnem, gubernatorem Deweyem, ambasadorem Bulittem i Edgarem Mowrerem na czele. *Kilkadziesiąt fotografii starej, nowej i zburzonej Warszawy.* NUMER WARSZAWSKI "TYGODNIKA POLSKIEGO" ZNALEŚĆ SIĘ POWINIEN DZIŚ WŁAŚNIE W RĘKĘ KAŻDEGO Z NASZYCH AMERYKAŃSKICH PRZYJACIOŁ. *Jeszcze jest pewna ilość egzemplarzy do nabycia — cena 25c*

Zamawiajcie zaraz w naszej Administracji:

"TYGODNIK POLSKI" 806 LEXINGTON AVE., RE 7-4168

\*Alan Moorehead. African Trilogy comprising Mediterranean Front, A Year of Battle, The End in Africa. A personal account of the three years struggle against the Axis in the Middle East and North Africa, 1940-3, with a Foreword by Field-Marshal Viscount Wavell G. C. B., C. M. G., M. C. Londyn, Hamish Mamilton, 1944; str. 592.



# OPINJE I ZDARZENIA

## TAK TRZEBA Z BENESZAMI

Pan Benesz, postępując jak zawsze, to znaczy się pragnąc usiąść od razu na dwóch stołkach — uznał aby się podobać Moskwie rząd w Lublinie, ale na wszelki wypadek, postanowił się zabezpieczyć i z innej strony i ogłosił, że nie zrywa też stosunków z rządem Arciszewskiego w Londynie. Tę arcychytrą pokrzyżował mu pan Tarnowski — i rząd polski zerwał sam stosunki z panem Beneszem, oświadczając jednocześnie, że oddawna ten rząd nie jest niezależnym. Drobna to względnie sprawa — bo stosunki z marjonetkowym rządem pana Benesza nie miały i nie mają dla Polski żadnego znaczenia — pan Benesz bowiem nawet jako międzynarodowy faktor oddawna nikomu nie może się przysłużyć, gdyż Anglicy wogóle go nie słuchają a Amerykanie niechętnie. Ale dobrze się stało że rząd nasz swoim postępkami pomógł panu Beneszowi uświadomić sobie, że jest bankrutem politycznym, na którym nikomu nie może zależeć i którego ambasadorzy nie mają nic do roboty pomiędzy ludźmi wolnymi i walczącymi o wolność.

## KTO TO NAPISAŁ?

Oto zagadka dla naszych czytelników. Który z publicystów polskich siejący dziś nienawiść i niezgodę, zwalczający namiętnie Polaków i bardzo pobłażliwy dla Rosji — napisał w listopadzie 1940 roku owe piękne, mądre i jedynie słuszne zdanie:

“We wspólnej mogile niemieckiej kaźni odnajdzie się naprawdę cała Polska. Znajdą się w niej ziemianie o historycznych nazwiskach, wodzowie chłopskiego ludu, profesorowie uczelni jagiellońskiej, parobcy którzy kamieniami walili w motocyklistów niemieckich, skauci którzy bronili opuszczonych Katowic, rozstrzelani pracownicy, zamęczeni chałciarze. Nie rozpoznamy już nigdy kto z nich był małtańczykiem hrabią Szoldrskim, kto prezesem Borzęckim, kto ludowcem, kto socjalistą, kto endekiem, kto oenerowcem. A nawet nie będziemy rozpoznawali. Śmierć, która ich zjednoczyła i nas skolei zjednoczy. Obyśmy to umieli naprawdę zrozumieć, jak rozumieli ją napewno oni, komając, i Kraj, na ich zgon patrząc! Wtedy nie będzie daremna żadna z tylu straszliwych ponurych, buntujących wszystko co ludzkie, śmierci. — Wtedy tam w górze dozna uczucia pokoju, ów co tego pokoju tak próżno w narodzie szukał. Duch Macieja Rajta.”

Ksawery Pruszyński.



Na wystawie artystów-żołnierzy  
Drugiego Korpusu w Rzymie

## BIBLIOTEKA POLSKA W PARYŻU

Biblioteka Polska w Paryżu została jak wiadomo złupiona przez Niemców ze wszystkiego co w niej pozostało — a czego zapobiegliwy minister Pułaski nie zdołał wywieść — i w bezpiecznym miejscu ukryć. Szcześnie, dzięki tej właśnie zapobiegliwości uratować zdołano wiele skarbów najcenniejszych, a więc przedewszystkiem rękopisy Mickiewicza i całe prawie jego muzeum. W tej chwili, po uroczystym otwarciu, które parę tygodni temu nastąpiło, powraca do Biblioteki Polskiej życie: życie trudne i nie tak świetne jak te, które pamiętamy z przedwojennych zebrań, ale przecież niezwykle dla naszej kultury ważne. Minister Pułaski i nieoceniona panna Bronisława Monkiewiczówna, prawdziwa kapłanka mickiewiczowskiego kultu są już na swoich stanowiskach i robią wszystkie wysiłki, aby co można odnaleźć, aby dawne zbiory nowymi zastąpić i aby ta jedyna dziś na świecie wolna Biblioteka Polska mogła znów krzewić naukę polską, pomagać wiedzy o Polsce i sprawie polskiej.

Wszyscy, którzy znają działalność ministra Pułaskiego z radością witają wiadomość, że jest on znów na swoim posterunku i wierzą, że robiąc tylekroć rzeczy napozór niemożliwe — dokona ich i teraz. Nieraz już pan Franciszek wydostawał różne rzeczy jak mówiono z “pod ziemi”. Tym razem naprawdę wydobył “z pod ziemi” najcenniejsze skarby Biblioteki. Może jak dobrze pogrzebie i więcej wyndziej?

## MĄDRY ANGLIK PO SZKODZIE

Aneurin Bevan w ostatnim numerze londyńskiej “Tribune” atakuje Churchilla za jego politykę międzynarodową. Bevan dowodzi, że Anglja, będąc najsłabszym partnerem w Wielkiej Trójce, z natury rzeczy powinna była zespolić wokoło siebie interesy mniejszych narodów europejskich i w ten sposób, stając się przywódcą słabszych — wyrównać może swoje szanse w stosunku do potężniejszych od niej Stanów Zjednoczonych i Sowietów. — Aby jednak zdobyć zaufanie i poparcie mniejszych narodów — należało od początku wnieść wysiłki pokojowe na wysoki poziom moralny. Churchill nie wykorzystał tej szansy, pozostawiając mniejsze narody jeden po drugim ich własnemu losowi — i teraz jest skazany na przegranie na terenie Wielkiej Trójki.

## MARITAIN — AMBASADOREM

Doskonały pisarz katolicki. Jacques Maritain został mianowany przez generała de Gaulle’a ambasadorem Francji przy Watykanie, otrzymał agrement Stolicy Apostolskiej i w niedługim czasie obejmie swoje stanowisko. W dyplomacji francuskiej udział pisarzy w służbie jest starą tradycją od Chateaubrianda i Stendhala do Claudela, Giraudoux i Moranda. Tylko — podczas kiedy dla nich wszystkich dyplomacja i pisarstwo były niejako odrębnymi zajęciami; a raczej dyplomacja była dla nich fachem — a pisarstwo powołaniem — Maritain, który nigdy w dyplomacji nie służył — został ambasadorem jako pisarz, dlatego, że jego twórczość



zdaniem generała de Gaulle'a da mu odpowiedni prestiż w Watykanie i pozwoli znaleźć wspólny język z dyplomacją Stolicy Apostolskiej.

Czytelnicy nasi pamiętają zapewne wstrząsający list Józefa Czapskiego do Maritaina i Mauriaca. Teraz w Rzymie znajdzie zapewne Czapski okazję aby w rozmowie z nowym ambasadorem list ten mu przypomnieć.

## LISTY DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Jako człowiek stojący stosunkowo blisko Polskiego Instytutu Naukowego na gruncie kanadyjskim, pozwolę sobie dorzucić słów parę do "Pamiętnika Kanadyjskiego", który się ukazał trzy tygodnie temu w "Tygodniku Polskim".

Autor pamiętnika w bardzo dowcipny sposób podaje, że w dniu sobotnim jego sprawozdawczego tygodnia gruchnęła po Montrealu wiadomość o istnieniu na terenie Kanady Oddziału Polskiego Instytutu Naukowego — spowodował ją jakiś telefon skierowany do autora pamiętnika, czy też, może się mylę, ten telefon już był wynikiem w dziwny sposób powstałej pogłoski.

Myślę więc, że będzie tu zupełnie na miejscu powiedzieć, nawet bez lekkiego zakłopotania, jak to miało miejsce z autorem Pamiętnika, że Instytut w Kanadzie rzeczywiście istnieje już od dwóch przeszło lat i że sprawozdania z działalności Instytutu, drukowane na łamach Biuletynu, są odzwierciedleniem jego dość sporego dorobku.

Zacytujemy kilka faktów z ubiegłego półrocza: Oddział, mając na względzie, iż głównym jego zadaniem jest praca nad zbliżeniem naukowych kół kanadyjskich do kultury i nauki polskiej organizuje udział uczonych polskich, przebywających na terenie Dominionu, w dorocznym Zjeździe Związku wszystkich Naukowych Stowarzyszeń francuskiej Kanady — (ACFAS'u) w wyniku czego w Quebecu zostają wygłoszone cztery poważne referaty polskie.

Na jesieni odbyło się też rozstrzygnięcie konkursu Instytutu na najlepsze studjum o Polsce ogłoszone w pierwszej mierze dla sfer akademickich Kanady. Dwie najlepsze prace uzyskały nagrody pieniężne (\$100. i \$50.), notatki o tym konkursie i o jego wynikach ukazały się w całej prasie Kanadyjskiej.

Oficjalne rozpoczęcie roku akademickiego miało miejsce w postaci uroczystego obchodu stulecia Politechniki Lwowskiej. Obchód miał miejsce w sali honorowej Uniwersytetu angielskiego McGill. Wzięli w nim udział przedstawiciele uniwersytetów kanadyjskich, Stowarzyszeń Nauko-



## ZBIGNIEW ZIEMIŃSKI JAKO CHOPIN

*Wszystkie kina amerykańskie z nowojorskim "Radio City" na czele grają teraz z niezwykle powodzeniem dramat "A song to remember" osnuty na tle życia Chopina. To prowadzi nasze wspomnienia do świetnej sztuki Iwaszkiewicza "Lato w Nohant" o tym samym temacie, która na parę lat przed wojną wszędzie w Polsce świeciła tryumfy. Rolę Chopina grał wtedy Zbigniew Ziemiński, dziś przebywający w Rio de Janeiro. Jak wiadomo Ziemiński pozował Augustowi Zamoyjskiemu do jego "Chopina", który stoi obecnie na jednym z głównych placów w Rio.*

wych i inżynierskich. Obchód był zakończony akordem muzycznym Małcużyńskiego, zebrał bardzo liczną publiczność i miał bardzo dobrą prasę.

Pozatym ma miejsce życie wewnętrzne Instytutu. Została ustalona tradycja, iż każdy z nowo obranych członków musi wygłosić przed gremium Oddziału przemówienie.

W związku z powyższym mieliśmy posiedzenia członków Instytutu po-

święcone rektorowi Uniwersytetu Ottawskiego O. Corneiller, następnie zaś Rektorowi Uniwersytetu Quebeckiego Msg. Gagnon oraz Dr. A. Grzędzielskiemu.

W tymże okresie Oddział Instytutu zapoczątkował otwarcie trzech swoich Komisji: Nauk Stosowanych, Literacko-Artystycznej i Nauk Ścisłych. Pierwsza z tych Komisji już wyraźnie zaznaczyła swoją działalność współ-



pracując z Komitetem redakcyjnym "Polskiego Technika".

Rok 1945 rozpoczęty był wspólną pracą przy organizacji Zjazdu Instytutu w Chicago — może autor Pamiętnika nie wie, że Oddział Instytutu wysłał na ten Zjazd swoją delegację, zaś z gruntu Montrealu wpłynęło tam aż trzy referaty.

Gdy rozpoczęła się obecna ofenzywa sowieckiej Armji Oddział Instytutu wydaje odezwę w sprawie Ochrony Zabytków Krakowa. Odezwa ta podpisana przez wybitnych przedstawicieli nauki, prezesów honorowych Oddziału Mgr. O. Maurault i Dr. C. James'a znalazła się na łamach całej prasy kanadyjskiej i była nadawana przez radio, zarówno na sieci angielskiej jak też i francuskiej — pozatym przedstawiciel Instytutu bierze udział w każdym zebraniu publicznym, gdzie jest mowa o Polsce, aby tam zadokumentować istnienie Oddziału.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o subsydjach wydawanych tym czy innym przedstawicielom nauki polskiej czy też sztuki w związku z ich działalnością na terenie Kanady w myśl przewodnich idei Instytutu, ale wspomina już o tym sam autor pamiętnika, myślę więc, że była by to już rzecz zbyteczna. Dodam tylko, że niestety Oddział Instytutu rozporządza bardzo skromnymi środkami, że nikt z Dyrekcji, ani też Zarządu Instytutu nie pobiera żadnego wynagrodzenia za swą pracę w Instytucie i że życie tych osób zasadniczo bardzo jest zbliżone do życia owego "przejętnego uchodźcy kanadyjskiego", który niestety musi żyć, z owym okropnym budzikiem, dającym owe pięć poniedziałków w tygodniu, o których pisze autor pamiętnika.

I jeszcze jedno: należy bardzo żałować, że autor pamiętnika nie wytłumaczył owej telefonującej do niego osobie, że ani samego Instytutu, ani też żadnego z jego Oddziałów nie można porównać do jakiegoś dajmy na to Towarzystwa Sportowego, które żyje życiem zbiorowym, urządza wspólne ćwiczenia, dla swoich członków, pokazy publiczne i źle jest bardzo, jeżeli nikt nie o tym życiu zbiorowym nie słyszy.

Instytut jest zasadniczo luźnym związkiem ludzi: ozwiają ich co praw-

da wspólne idee i ideały, ale praca każdego z nich bieżmie zupełnie odrębnym torem, czasem w jakimś laboratorium, czasem na łamach jakiegoś pisma naukowego lub też jakiegoś wydawnictwa. W związku z czym o działalności Instytutu może dowiedzieć się tylko ten, kto zada sobie trud zajrzenie do jakiegoś poradnika bibliograficznego, dowiedzenia się kto był twórcą tej czy innej teorii, lub też kto ostatnio wygłosił ten czy inny odczyt.

J. Pawlikowski.

PROSIMY ODNOWIĆ

PRENUMERATĘ

NA ROK 1945



## Przeciw podrażnionej CERZE

Pozwólcie Helenie Rubinstein, sławnej znawczynie piękności, dopomódz Wam w pozbywaniu się tych brzydkich plam które psują Waszą cerę. Podajemy trzy specjalne preparaty dla niezdrowej cery... jako podstawy do olśniewającej urody.

*Ziarnka Piękności:* Drobne ziarnka które się roztapiają przy delikatnem tarciu i myciu aby oczyścić cerę z powierzchniowych nieczystości. .50, \$1.00.

*"Water Lily" Płyn Do Cery:* Wyjątkowo efektowny płyn leczniczy przeciw podrażnionej cerze. 2.00, 3.00  
*Krem Leczniczy:* Zastosować ten łagodny krem na podrażnione miejsca skóry i pozostawić na noc. 1.00

# Helena Rubinstein

Do nabycia we wszystkich większych sklepach

**POTRZEBA  
CZYŚCICIELI - SPRZĄTACZY**  
do dużego budynku biurowego. \$37.00  
wraz z "overtime"  
Zwrócić się do:  
**PANA INGE**  
70 Pine Street  
New York City, N. Y.